Ner 16.

WARSZAWIANIN

TYGODNIK MÓD.

Dnia 15. Czerwca 1822. Roku.

WIECZNY PAN MŁODY.

(*dokończenie*)

W kilka czasów potém, poznałem pewną damę okazale żyiącą — i iéy córkę *Klementynę* L. Zostałem Maiorem. Panna mi się podobała — i ia też dla niéy oboiętny nie byłem. — Rozsądna, piękna, a do tego maiętna, wiele mi obiecywała szczęścia. Lubiąc nad wszystko muzykę, często u siebie dawała koncerta, i sama mnie do ćwiczenia się na skrzypcach zachęcała, mówiąc zawsze, że mam wielki talent. Ja też już do tego posunąłem się stopnia doskonałości, żem *Spora* nie źle *exercytował*. Czegóż miłość nie dokaże? *Klementyna* mówiła mi nie raz o swoich dobrach — a sposób iéy życia, oznaczaiący dostatek, nie zły mi obiecywał posażek — słowem, szczęśliwy w omamieniu, sobie samemu to dobre przyięcie i miłość *Klementyny* przypisywałem. Zacząłem matce wyiawiać moie zamiary — gdy z naywiększym dowiaduię się bolem, iż tę parę wiosek, któremi tak się szczyciły, tylko w dożywocie miały, i że ani grosza posagu, ale ieszcze długów, spodziéwać się mogłem. Zwinąłem chorągiewkę — i zemknąłem ucieszony, że gołéy sobie nie kupiłem rozrzutności.

Opuściłem *Warszawę* i stanąłem na wsi kwaterą. Gospodyni domu Pani M. była to młoda i maiętna

wdowa. Stoiąc blizko przez rok w iéy domu, ścisłą z nią zabrałem znaiomość — nareszcie Bożek miłości, miał mnie iuż do świątyni *Himenu* wprowadzić — w tém rozpoczęła się *Kampanja* — Tysiączne przysięgi wierności, nayżywsze oznaki rozpaczy i czułości, zapewniły mnie o iéy sercu. Przyrzekłszy sobie wzaiemnie stałość do grobowéy deski — i dopełnienie naygorętszych naszych życzeń, iak tylko z woyny powrócę — opuściłem moią kochankę. Wzięty w niewolą, w kilka lat dopiéro do Oyczyzny się dostałem — ale niestety! — czuła M. przestała iuż bydź wdową — maiętny sąsiad otarł łzy, które moie oddalenie wycisnęło.

Znudzony i zniechęcony do naywyższego stopnia, zrzekłem się iuż szukać piękności, rzadko w parze z maiątkiem idącéy, — a całą myśl moią na to zwróciłem, aby sobie dobrą i maiętną żonę, chociażby nie młodą i brzydką, wynaleźć. Bywałem w domu Adwokata N. Córka iego *Natalja*, w prawdzie nieco ułomna, ale przy tém bardzo dobra i światła była osoba. Postanowiłem starać się o nią — Oyciec sprzyiał mi dosyć — a panna moim *Sporem* znęcona, byłaby zapewne na wszystko chętnie przystała, gdyby na nieszczęście, nie wszczęła sią raz dysputa między *Natalją*, a pewnym młodym poetą, o piérwszeństwo *klassyczności*, nad *romantycznością*. *Natalja* dla poparcia swoiego zdania, odwołała się do mnie — lecz ja, który piérwszy raz o tych definicyach literackich słyszałem, ust otworzyć nie mogłem. — Spoyrzała na mnie z szyderskim uśmiéchem. W kilka dni, odprawiono mnie z moiemi miłosnemi affektami. Dowiedziałem się późniéy, iż mimo różnicy zdań i niechęci oyca, *Natalja* poszła za Pana Poetę!

Jeden z moich przyiaciół, wielki polityk, wprowadził mnie do domu pewnego Obywatela, którego siostra Panna O. często u siebie polityczne kluby zbiérała. Rozprawiano tam obszernie o *Arystokracyi*, *Demokracyi*, *Terroryzmach*, *Jakóbinizmach*, *Ultrach*, formach Rządu, systematach politycznych, bogactwach narodowych (uroionych, ale nie rzeczywistych) Ekonomji politycznéy, finansach, i o tém

wszystkiém, cokolwiek mądre głowy różnych części świata i Narodów, utworzyć w materyi polityczney mogły. Co mnie to tam wszystko obchodziło! ale Panna O. miała maiątek — i choć iuż z okładem 30. lat liczyła, rozniecila w mém sercu ogień miłości — ale i *Spor* tutay nic nie pomógł, — dla niepewności zdań moich w polityce, pożegnany zostałem.

Ostatnia wdowa P. na którą tyle rachowałem, porzuciła mnie dla walca! cóż mam czynić kochany kuzynku? Poradź mi, iakim sposobem dostać można żony. Zacząłem iuż czytać traktaty polityczne i gazety Literackie. Znam imiona wszystkich znakomitych Polityków, Historyków, Poetów, Romantyków, Klassyków — nauczyłem się na pamięć kilku katalogów xiążek — sprobowałem wiérsze pisać — gotówbym się nawet uczyć tańcować, gdyby tego zaszła potrzeba — idzie tu tylko o dostanie żony. Mimo bowiem tylu doznanych przeciwności, coraz większą chęć czuię do małżeńskiego stanu, który chociaż (iakem to teraz gdzieś wyczytał) bardzo iest okrzyczany, dla mnie iednakże zawsze wiele ma powabów. Ilekroć w kościele zapowiedzi słyszę, albo idącą młodą parę od ślubu spotykam, żal iakiś serce mi ściska — spoglądam na nich — zazdroszczę im szczęścia — samo wspomnienie samotnéy starości, trwogą mnie przeraża — a ta chociaż odemnie ieszcze daleka, co raz się iednak bardziéy zbliża — czuię iuż *romatyzmy* — znayduię tu i owdzie włos siwy, — a mimo moiéy czerstwéy i rumianéy twarzy, czuię iż tracę tę żywość i sprężystość, które wiek młody cechuią.

Słyszałem, iż w niektórych kraiach iest zwyczay, ogłaszania chęci weyścia w związki małżeńskie, przez pisma publiczne — czyby mi się ten sposób nie udał? Wychodzi tam w *Warszawie* iakieś pismo, szczególniéy Damom poświęcone. Umieść w nim artykulik, obeymuiący moie nayszczérsze *intencye*. Wyraź, że iestem czerstwy, zdrów, przystoyny, (bo przecież kiedyś nim byłem) że *exercytuię Baillota*, *Spora*, *Maysedera* i t. d. Że umiem nieco dysputować w rozmaitych przedmiotach — (czytałem bowiem zbiór Encyklopedyczny *Sołtykowicza*, i zbiór wiadomości

Krasickiego) że iestem Maiorem — i że naywierniéyszym będę małżonkiem, byle moia połowica iaki taki posażek i mniéy od 40. lat miała (wszak ieszcze takich musi bydź nie mało). Polecam Ci to, móy drogi kuzynku! Nayszczérsza chęć i samo powołanie do stanu małżeńskiego z natury, obiecuią we mnie dobrego męża. Tym sposobem, mam nadzieię, że dopnę może, tak gorąco i dawno odemnie upragnionego celu. Wszakże to pismo, same tylko kobiéty czytaią — bo męszczyzni, a zwłaszcza młokosy, gotowiby się śmiać ze mnie.

Twóy zawsze w oczekiwaniu zostaiący przyiaciel

X.

Pan Maior trafił nie chcący do celu — szkoda tylko, że nie wimy iego adressu, gdzieby chęć maiąca kobiéta, znaleźć go mogła. Zdaie się, iż opis iego życia, posłuży mu nie mało w wykonaniu od tylu lat przedsiewziętego zamiaru — dobroć bowiem iego i *entuzyazm*, powolnego się po nim każą spodziéwać małżonka. Gdy iednak iuż do litery P. doszedł, lękamy się, aby całego abecadła nie przeszedł — i ieszcze kawalerem nie został. Rozmaite są przeznaczenia ludzkie. Są tacy, co nie chcąc, sami nie wiedzą, iak się w małżeński węzeł wplątali. Są inni (iak nam tego bieg życia Maiora X. dowodzi) co mimo wszelkiéy usilności i zabiegów, tego błogosławionego stanu, doczekać się nie mogą. Z serca życzymy temu nieszczęsnemu *Tantalowi* darów *Himena*, aby mógł upartego Bożka pokonać. Spodziéwamy się nawet, iż Redakcya nie odmówi w swoiém pismie mieysca, gdyby się przypadkiem iaka *Licytantka* zgłosiła.

E.

O MUZYCE
Pana Franciszka Mireckiego, w Operze wiérszem napisanéy przez *Fr: Dy: Kniaźnina*, CYGANIE.

Opera Polska, licząc od *Nędzy uszczęśliwionéy Kamińskiego*, od r. 1778. aż do dnia dzisiayszego, wystawiła własnych dzieł przeszło 70. obcych około 140. W tak krótkim przeciągu czasu i mało sprzyiaiących iéy okolicznościach, przecież daią się widzieć w niéy rysy, oddzielaiące ią od Oper cudzych, według natury własnego ięzyka.

Opera narodowa, utwierdza się i wzrasta przez kompozytorów narodowych, albo też obcych, znaiących iednak ięzyk i śpiéwy Narodu, któremu swe poświęcaią prace: takimi są u Francuzów: *Gluk*, *Cherubini*, *Spontini* etc. u nas *Kamiński* (Czech), *Stefani*, i znany z swych zasług *Elsner*. Im więcéy Naród ma kompozytorów, tém świetniéyszą staie się iego Opera, która bez wątpienia równie iak inne sztuki, przyczynia się do sławy narodowéy.— Przybywa nam P. *Mirecki*— nie możemy nie cieszyć się z tego.— Kilku młodych uczniów naszego *Konserwatorium* muzycznego, czynią nadzieię, iż przyszłość Polskiéy Opery będzie coraz świetniéyszą. Lecz w miarę powiększania się liczby pracowników, powinna równie podwaiać swą baczność i krytyka. Młodzi, zapatruiąc się zwykle na tych, co iuż zapracowali sobie na wziętość, mogą przeiąć równie złe, iak dobre. Dla téy właśnie przyczyny, przedsiebiorę rozebrać szczegółowo muzykę w Operze *Cyganie*, aby taż młodzież, mogła choć w części widzieć, czego się wystrzegać, i co naśladować— oraz aby uczuła trudność i zaletę swoiego zawodu, wymagaiącego oprócz wrodzonéy zdolności, wiele pracy, rozmysłu, obięcia i doświadczenia.

Zaczęcie *Uwertury*, malnie wieś— Pominąwszy niektóre fałszywe *relacye* w *harmonji*, ma tę zaletę,

że iuż w niéy słychać *Cyganów*, przez dowcipne potrącenie *motiwa* „*Ale iakże ona zgadła*"— *Allegro* wcale wesołe— Forma iego, iest nieco obszerna, iednakże w sobie proporcyonalna, wyiąwszy błąd w *harmonji* w takcie 84tym i następnie, gdzie *Altówki* i *Fagoty* czynią fałszywe *relacye* ze Skrzypcami.

Introdukcya w Chórze *Cyganów*, przy słowach: „*Choć i głodno i chłodno, ale żyiem swobodno*" iest rozwlekła i mało wesoła,— a wyrażenie swobody iak dla *Cyganów*, raz iest za miękkie, drugi raz za okropne. *Sola* w tym Chórze, mimo że są pisane w formie dobrych mistrzów, iednakże, iak na operę komiczną, gdzie wszystko tchnąć powinno lekkością i żywością, słowa w nich na zbyt często są powtarzane, przerywane zbyt długiemi przegrywkami, i niepotrzebnie ruladowane. *Trombony* czyli *Puzany*, używaią się tylko do scen ponurych w Operach *serio*; lub tam, gdzie mocne przerażenie sprawić maią— zatém do słów: „*choć i głodno i chłodno, ale żyiem swobodno*" nie są na swoiém mieyscu,— tém bardziéy, gdy zważemy, że w przygotowaniu do téyże *Introdukcyi*, *harmonja* przedstawia przyiemną okolicę. Lecz w ostatniém tempie „*Byle na dziś było chleba*" *motiwo* w stosunku z poezyą i *sytuacyą* osób, bardzo iest trafne i przyiemne, bo lekkie, żywe, i w niczém nieprzesadne.

Nr: 2gi. Niedźwiedzi taniec *Gnusa* z kiiem, nie iest muzyką dla niedźwiedzia. Jest to piękne! ale coś nakształt *kontredansa* francuzkiego.— I to dziwna, że po wyliczeniu *Gnusowi* przeznaczonéy ilości batów, śpiéw nie ma żadnego końca. Byłoć trzeba wypełnienie liczby *sta*, odznaczyć ogólnym *perjodem*, — a tu przeciwnie, mimo że tenże *Gnus* śpiéwa na końcu „*Wytańczyłem iuż i do sta*" wszystko iest w zawieszeniu, i śpiéw i *Orkiestra*.

Nr: 3ci. Arya *Chichy obligato* ze skrzypcami, przez chętkę świetnienia, pociągnęła za sobą liczne i grube błędy. Z przeszłych Poetów Polskich, pierwszym iest *Kaniaźnin*, który pisał wiérsze do śpiewania *metrycznie*, i sam niejako podawał takt *Kom-*

pozytorowi. W téy Aryi, wszystkie wiérsze są pisane na trzy-ćwierciowy takt *np:*

Jeszcze móy	Stach nie przy-	bywa
Czekam i	ra—zem się	boię
Ah cóż ty	chcesz nieszczę-	śliwa
Jakież na-	dzie—ie są	twoie.

P. *Mirecki* obrał zupełnie przeciwną miarę, bo takt cztero-ćwierciowy, czyli parzysty; zkąd wynika koniecznie łamanie wyrazów i fałszywa w śpiéwie deklamacya *np:*

Jeszcze	móy Stach	nie przy-	bywa
Czekam	i ra—	zem się	boię
Ah cóż	ty chcesz	nieszczę-	śliwa
Jakież	na—dzie-	ie są	twoie.

Powtóre: obrał *motiwo* i ton bohatérski iakby do słów „*Powracaycie cni rycerze*“. *Po trzecie*: *rulady* na „*ia— — — kież nadzieie są twoie*“ również na *ma— — —tkę naylepszą porzucić*“ nie wiedzieć co wyrażaią. *Rulady* daią się tylko w uniesieniach, zachwyceniach, w malowaniu niektórych uczuć i czynów, na wyrazy np: *ra— — —dość*, *za— —pał*, *ro— — skosz*, *ża— —l*, *niena— —wiść*, *śpiéwa— — nie*, *skaka— — nie*, *etc...* ale nigdy na wyrazy *matkę*, *iakie.*

Po czwarte: nie wiem również, iak sobie owo *koncertowanie*, czyli świegotanie skrzypców wytłómaczyć. Gdyby *Cyganie* nie narzekali na zimno, rozumielibyśmy przynaymniéy, że wśród dnia pogodnego lata, ptaszki wyśpiéwuią.— Nakoniec, nie chciałbym wspominać o zbyt wysokiém i prędkiém w drugiéy części téy aryi *gdakaniu* słów „*Ah cóż ty chcesz nieszczęśliwa*“ równie iak o iéy zakończeniu zupełnie przeciwném naszéy *prozodyi* „*iakie nadzieie są two—JE*? Słowem: duch tych wierszy, nie z *ruladami* aryi *di bravura*, lecz prostéy koniecznie wymaga *dumki* (une romance).

Nr: 4ty. w *Duecie* kochanków, w którym *Stach* nalega na *Chichę* aby z nim uciechała, *motiwo*, lubo nie koniecznie trafne, bo bardziéy kłótnią, aniżeli

miłość kochanków wyrażaiące, pięknie iednakże iest prowadzone aż do wpadku w *F*, *minor* — gdzie styl nagle poważnieie, i lekką boiaźń kochanki, przemienia w poważną trwogę. *Sostenuto* kończące ten *Duet*, iest prawdziwie piękne i tkliwe — mała tylko znayduie się tam skaza, przy słowach „*ciebie ia kocham*" gdyż rytm muzykalny, nadaie im ton bohatérski, przez co krzywdzi się nie tylko uczucie miłości, ale nawet *prozodya* ięzyka, bo zgłoska *bie*, staie się mocniéyszą i dłuższą od *cie*.

Nr: 5ty. *Finał* rozpoczynaią: *Jawnuta*, *Chicha* i *Stach*. Początek ten starannie iest wypracowany, ale styl dla tych osób, zdaie się bydź za poważny.— Oprócz tego w naturze iest, że podeszła kobiéta, ma niższy głos od młodéy: wolałbym więc, żeby zamiast staréy *Jawnuty*, śpiéwała głos piérwszy kochanka.— Zmienia się *Tempo* na trzy-ćwierciowy takt, podobny do *Poloneza* — gdy powracaią zebrani na iarmark *Cyganie*. *Tempo* to, nie iest przyzwoite ani dla wiérszy ani dla *Akcyi* — a *kadencya* muzyczna na wyrazy: „*batogi i pięście*" iest za elegancką.

Ostatnie *Tempo Finału*:

„Idźmy bracia bo już późno,
Wara wrócić z ręką próżną."

iest bardzo piękne, dobrze wypracowane, w proporcyonalnéy formie; ale od połowy, nie na swoiém mieyscu. Gdzież to idą *Cyganie*? — kraść.— Po cóż więc tyle hałasu, tyle z całego gardła krzyku, przy odgłosie *Puzanów*, *Trąb*, *Kotłów*, *dzwiękadeł* i *Tulumbasa*, iak gdyby iakie Rycerstwo idące na krwawe boie?— Wyprawa złodzieyska, różni się przecież zupełną przeciwnością od wyprawy woiennéy — było więc trzeba nadać tym wyrazom iakąś tęgość zciszoną, przez którąby się przebiiała ostróżność, chciwość zdobyczy, i wzaiemna groźba, aby żaden nie wracał z ręką próżną.— Jestci przy końcu małe zciszenie, ale wyrażaiące tylko rozeyście się *Cyganów*. *P. Mirecki* biorąc wzory (iak się widzieć daie) z dzieł wielkich mistrzów, czemu w tém mieyscu nie przywiódł sobie na pamięć *Finału Cherubiniego* w drugim akcie *Wo-*

ziwody,— gdzie, chociaż to żołnierze (chciwi otrzymania przyobiecanéy nagrody Duk. 100,000. za schwytanie *Armanda*) czynią wyprawę, iednakże nie ma tam żadnego krzyku, żadnéy wrzawy, nie odzywaią się tam ani *Kotły* ani *Trąby*, nawet *Basy* maią *pizzicato*; wszystko tam iest zciszone aż do końca, i śpiew i Orkiestra.

K***

(*dokończenie nastąpi*)

PETRARK w WOKLUZIE.

Petrark schronił się do *Wokluzy*, dla przytłumienia trawiącéy go miłości. Jeden wieśniak wraz z żoną i pies, to były tylko istoty, które go otaczały.— Nie znał innego towarzystwa, nad swoie xiążki — innego pocieszenia, nad muzy — żył rybami, które sam poławiał — figi, orzechy i migdały, były ulubioną iego potrawą. Przybrany w suknie pasterskie, zwykł się podpisywać na swoich listach: *Pustelnik z nad brzegów Sorgi*. Dumanie i samotność, ożywiły twórczy iego geniusz. Tam to on napisał swoie dzieło: *o iedném i drugiém szczęściu* — tam wyszły z pod iego pióra: *Wspomnienia Rzymu*,— *Poema o Scypionie*,— *pochwała samotnego życia* i *Traktat o życiu zakonném*. Wszystkie listy iego z tych mieysc pisane, zawiéraią opisy przyiemnych chwil, spędzonych w lubém ustroniu, które on nad pobyt w wielkich miastach przekładał. Przeczuwał już w ten czas, że Fontanna *Wokluzy*, sławna pięknościami przyrodzenia, głośniéyszą się ieszcze stanie przez to, iż mu użyczyła schronienia, w dręczących go przeciwnościach— a hołd potomności, usprawiedliwił to szlachetne przeczucie.

WARSZAWA.

Żartuiemy nieraz z przesadzónéy, a częstokroć uciążliwéy grzeczności oyców naszych — ale możnaż lepiéy trzymać o lekkomyślności ich synów? Posuwać zbyt daleko względy, należące się płci pięknéy, iest to słabość, którą łatwo wybaczyć można — zapominać się przy kobiécie, uchybiać iéy dla tego, że iest słabszą i że prawo odwetu rzadko iéy służyć może, iest to błąd, nie tylko płochości, i braku wychowania, ale nawet zepsutego dowodzący serca. Piérwsze, może się zamienić w śmiészność i za taką bydź uważane — drugie, oburza i wzgardę za sobą pociąga.

Nie życzyłbym sobie zapewne, widziéć iak dawniéy, poważnego męża, nie wahaiącego się pić wino z trzewika swoiéy Damy, i zniewalaiącego przytomnych, do naśladowania téy szczególnéy grzeczności — albo dla pięknych oczów, częstemi toastami zaléwać rozsądek i zdrowie niszczyć. — Jestże to bowiem godny sposób okazania swoiego szacunku płci, któréy delikatność główniéyszą iest cechą? Ale mnie nie równie więcéy ieszcze oburza ten ton lekki, którym niedorosły młodzik, do kobiéty mało mu nawet znaioméy, przemawia — to nieobyczayne szastanie się przy niéy, i dwóyznaczne żarciki, obrażaiące zarówno grzeczność i przystoyność.

Ze iuż nie wspomnę tutay o zabieganiu drogi idącéy kobiécie, o zaglądaniu iéy w oczy i pozwalaniu sobie głośnéy a szyderskiéy krytyki iéy stroiu, chodu, ułożenia. To wszystko iednak idzie na karb dobrego tonu — oto iest teraz sposób odznaczania się i zasłużenia sobie na reputacyą człowieka modnego. — Jeżeli zbyt śmiałe iest często postępowanie męszczyzn, w towarzystwie znaiomych kobiét — iakżeż można wymagać grzeczności, względem nieznaiomych? — Rzadko kto ustąpi mieysca swoiego kobiécie na widowi-

skach, lub rozrywkach publicznych — uchybić nieznaiomėy osobie, nie iest u nas wcale niegrzecznością.

Niebo udziela płci piękney zaymuiących nas powabów, kosztem choroby i bolów — wdzięki te niestety! — nikną i więdną w krótkim czasie, iak kwiatek polny — trzeba więc, aby iéy towarzystwo opłacało niesprawiedliwość losu — a iakież wynadgrodzenie iest w naszéy mocy, ieżeli nie to, aby iéy okazywać poszanowanie, szacunek i miłość? Jak mała nagroda, w stosunku cierpień i poświęcenia się dla szczęścia naszego od piérwszéy chwili życia, troskliwych matek, czułych kochanek, wiernych małżonek, niezmiennych przyiaciołek!

Powstaiemy na płochość, niewierność, i lekkomyślne postępowanie niektórych kobiét — lecz czyż błąd iednéy, ma poniżać płeć całą? — albo iak to lepiéy ieden z naszych poetów wyraził:

„A ieżeli z nich któréy czasem się wydarzy,
Swym usterkiem, dać pole sługębnéy potwarzy,
Próżno ta na ród cały swe iady wyziewa;
Jeden skażony owoc, nie oszpeca drzewa." —

Własny nawet interes wymaga po nas, abyśmy wirne płci piękney zachowali względy. Szanuiąc przedmiot naszych uczuciów, samych siebie szanuiemy: — a ta cześć zewnętrzna, którą składamy kobiétom, pomnaża ieszcze wartość ich taiemnych względów.

„Chlubni z naszéy wyższości, ieżli nas nie mami,
By ie widzieć lepszemi, bądźmy lepsi sami" —

Ty z twoiéy strony, płci czarowna! — chlubo przyrodzenia, i ozdobo towarzystwa! strzeż się postępowaniem swoiém, ośmielać poufałość męszczyzn, zamieniaiącéy się w krótkim czasie, nie tylko w niegrzeczność, ale nawet i w grubiiaństwo — pomniy, że Ty piérwsza, padasz zawsze ofiarą! — Jedno Twoie spoyrzenie, zdolne iest pohamować zuchwałość naszą. — Szanuiąc siebie, będziesz szanowaną — a baczność ciągła na własne postępki, będzie dla Ciebie naypewniéyszą rękoymią, naszego szacunku!

MODY PARYZKIE.

Na wszystkich zawoiach i wstążkach, widzieć się daią w połączeniu, szczególniéy te kolory: blado-niebieski i biały, wiśniowy i biały, różowy i blado-żółty.—

Rękawy dłuższe są teraz iak dawniéy, a rękawiczki długie, łokcia nie dochodzą.

Kapelusze *à la Marie Stuart* nie podwiązane wstążką, ozdobione tylko białą gazą i kłosami, co raz bardziéy wchodzą w modę.

Tło *Kaszmirowych* szalów, nayczęściéy bywa *lila*, malinowe, albo żółto-iaskrawe.

Niektóre Damy noszą na szyi, małe krzyżyki złote z zegareczkiem, albo lornetką w środku.

Na *bransoletki* i przepaski, zaczynaią używać safianu czerwonego z małemi sprzączkami.

Fartuszki perkalowe podwóynie garnirowane u dołu i ze stanikiem podobnym iak u sukni, odznaczaią stróy wielu kobiét.

Małe chusteczki koronkowe białe, albo czarne, sprzączki iuż nie stalowe, ale złote owalne, wchodzą w modę.

Prócz kapeluszów słomkowych, ubranych tylko wstążką, rzadko zaś kwiatem, i to różą albo kłosami — widzieć się daią kapelusze białe albo żołte, z fabryki P. *Manceau*. Zrobione są one z materyi iedwabnéy i maią wielkie podobieństwo do słomkowych.

Męszczyzni zaczynaią nosić kamizelki z potrzebami złotemi albo srebrnemi, stosownie do koloru materyi.

POEZYA.

Małżeństwo źle dobrane.

WIÉRSZ

Stanisława Trębeckiego.

Swit był — gdy z nocnych Jutrzenka cieniów
Gór dobywaiąc wierszchołki,
Budziła ptastwo do zwykłych pieniów,
I do zbiérania czcze pszczółki. —

Kmiotka z swéy chaty — bydle z obory,
I owce z pleci chropawéy,
Pędziła w łąki, w pola, w ugory,
Do dziennéy pracy i strawy.

Jam też noc ciemuą spędziwszy z powiek,
Gdy mnie dzień z domu wyzywa,
Idę — gdzie orząc mórg nędzny człowiek,
Potu, nie ziemi dobywa. —

Był to ów kmiotek co dwa z obory,
Woły nie równéy sprzągł tuszy:
Jeden z nich nazbyt silny i skory,
A drugi z mieysca nie ruszy. —

Jednym ich bodcem obu dotyka,
Jednym ochoty dodaie;
Przecie się ieden zawsze wymyka,
A drugi zawsze zostaie.

(a) Nie śmiemy z pewnością twierdzić, czyli ta poezya iest istotnie płodem pióra Trębeckiego, ale że za taką Redakcyi udzieloną zoztała, i dotąd nigdzie drukowaną nie była, nie wahaliśmy się umieścić iey w naszém pismie.

Z iednéy obory obadwa woły,
Oba z iednego folwarku;
Lecz tamten idzie w pługu wesoły,
Ten nie chce iarżma na karku.—

Tamten oracza posłuszny woli,
Ten swoiéy tylko używa;
Tamten żelazo ciśnie do roli,
A ten ie z roli wyrywa.—

Biedzi się kmiotek z wołmi, z żelazem,
To porwie za pług — to ciska —
Łzy z potem sączy, które mu razem
I gniéw i praca wyciska.—

Klnie woły, ziemię i stan rolniczy,
W którym go matka zrodziła;
Milszym mu zda się los niewolniczy,
Milszą nad życie mogiła. —

Tym czasem woły niesfornéy sprzęży,
Gdy rolnik płóg swóy odżywia,
Jeden drugiego bardziéy ciemięży,
I bardziéy mu się sprzeciwia.

Aż też nakoniec w takim uporze,
Mozoła była nie długa;
Jeden zdechł z pracy, że nadto orze —
Drugi, że nie mógł wlec pługa.

O! tym podobne źle sprzęgłe stadła,
Co się dla zysków zbiegacie!
Co gdy wam pora związku wypadła,
Skarbów, nie serca szukacie.—

Na cóż wam w skarbach miléy niż w cnocie,
Smakować na tym czczym świecie?
Gdy przy tych zbiorach zbywać na złocie,
Nie na potrzebach będziecie.

Wszak miłość pokarm nie bierze z złota,
Ale gdzie tkliwość iest większa,
Gdzie poufalsza rośnie pieszczota,
Tam iest łaskawsza i miększa.

O! iakże przykra tam iest przysięga!
O! iak nieznośne przymierze!
Kędy się serce z sercem nie sprzęga,
Lecz się z posagiem ślub bierze.

Biédny ów człowiek — komu się zdarzy,
W parze bez serca nabytéy,
Miłość zmyśloną nosić na twarzy,
A iad w swém sercu ukryty. —

Mnie, gdy nie długa życia osnowa,
I szczupły ludzkich dni wątek,
Człeka na koniec szczęśliwszy chowa
Niżli był iego początek —

W związkach miłości — w chwili zamęzcia,
Na cóż się przyda to łoże?
Które nie mieyscem pieszczot i szczęścia,
Lecz się marami stać może.

Komu świat cały łaie i fuka,
Kto z biédą ciężar lat dźwiga,
Ten niechay śmierci w tém iarźmie szuka,
Co piecze i co doliga.

Ten, niech bez serca idący w pary,
Żegna świat cały w swym bycie;
Ten, niechay łoże bierze za mary,
A za śmierć bierze pożycie.

Pierwéy po trzykroć drzewo liść zroni,
Po trzykroć nim się odzieie, —
Pierwéy włos z gładkiéy wyrośnie dłoni,
I w dłoń się znowu podzieie —

I piérwéy słońce świécić przestanie,
Lub świécić będzie daremnie —
Niżbym miał skarby kłaść nad kochanie,
Lub kochał — a nie wzaiemnie. —

Dziki to tylko ptak bystro-oki,
Natury w sobie głos tłumi,
Który bez cudzéy krwie i posoki
Żyć i obeyść się nie umie.

Ja zaś nie iestem iakie leśne plemie,
Ale gołąbek w téy mierze;
Który gdy serca zyskać nie może,
Nie dba o mięso i pierze.—

Do .....

Ilekroć pióro wypuszczę z ręki,
Serce mówi: to zbyt wcześnie!—
Bo chcąc określić wszystkie twe wdzięki,
Trzebaby pisać i we śnie.—

Szarada.

Drugie z pierwszém iest owoc, co u nas nie rodzi—
Użycie soków iego pomaga i szkodzi—
Trzecie głos, co go zwiérze znaiome wydaie—
Obfita w niego Polska i postronne kraie.—
Wszystko gdy się dopełni powinność okrutną
— Swiadkiem ciężkiego żalu i pamiątką smutną.

M. J.

Znaczenie Szarady w przeszłym Numerze: *Popas.*